

Wejście w nowy sezon

Brawa, których publiczność nie szczędzi bez względu na wartość spektaklu, przestały być wyrazem aplauzu dla czegoś, co się podoba, stając się jeszcze jedną formą, skonwencjonalizowanych zachowań (bije się brawo, bo należy to robić po skończonym przedstawieniu czy koncercie).

Wobec dewaluacji oklasków jako spontanicznie i publicznie objawionej oceny, proponuję inną — natężenie dyskusji pośród widzów opuszczających teatr.

Prześlanki propozycji są proste — człowiek pobudzony emocjonalnie lub intelektualnie ma naturalną skłonność do dzielenia się odczuciami, jakże by one nie były. Im większy ładunek zawarty w spektaklu, tym większa (chyba) potrzeba odreagowania.

Wśród szczerze oklaskanych spektakli nie brak, niestety, takich, po których ludzie wychodzą z teatru milczą, albo z zapalem rozprawiają o zeszłorocznym filmie czy jutrzejszym obiedzie. Można, oczywiście, położyć tolekką ręką na karb ich niewyrobienia, niedostatku kultury teatralnej. Myślę jednak, że bliższa prawdy będzie inna teza: spektakl nie zakłócił nikomu spokoju duszy i widzom wystarczyło drogi od sali do schodów, by przekonać nowe przeżycie, niczym bułkę z masłem.

Piszę te słowa na marginesie premiery, która rozpoczęła nowy sezon na zielonogórskiej scenie. Były to dwie jednoaktówki Stefani Zacharaki, zrealizowane na zamówienie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej.

Cel, jaki przyświecał zamówieniu, był zbrojny: oto w ramach Dni Kultury Greckiej zielonogórzanie będą mogli poznać najnowszą dramaturgię tego kraju. W ten sposób po trwających niewiele ponad tydzień próbach doszło do wystawienia „Wiezienia” i „Lalki”.

Z teatralnego programu wynikało, że na tle współczesnej greckiej dramaturgii propozycje S. Zacharaki wyróżniają się oryginalnością i odrebnością (wobec nieznaną osobą, widzowi nie pozostało nic innego, jak uwierzyć na słowo), i że poruszone w obu utworach problemy (wolność i jej granice; groteskowy obraz cywilizacji) obchożo widzów całego świata. Niby prawda, ale...

Czym w takim razie tłumaczyć wrażenie letniości i nijakości, z jakim odbierało się te premiery?

Aktorzy wywiązali się ze swych zadań całkiem poprawnie (z pamięci mogą przywołać, choćby niezłe wystudiowane, a niełatwe przeciw role Lalki i Sprzedawcy w „Lalce” stworzone przez Joannę Dobrzańską i Andrzeja Bysia). Podobała się scenografia Jerzego Gorazdowskiego, trudno byłoby też zgłosić większe pretensje do reżysera. A jednak to staranne opakowanie wiało pustką. Zabrakło w niej myśli burzącej spokój zasiadającego na widowni człowieka i skłaniającej go do sprzeciwu, zastanowienia, wątpliwości, czy jakiegokolwiek innej formy pracy intelektualnej.

Być może pozostało po tym spektaklu jakies wyobrażenie o współczesnej greckiej dramaturgii. Dobre to, jeśli wyobrażenie jest prawdziwe, choć uczucie niedosytu pozostaje. Grecja jest przecież kolebka teatru...

Wydaje się, że innego rodzaju zamówienie (iuz nie sformułowane wprost, ale jako takie odczytane przez teatr) zdecydowało o propozycji i kształcie drugiej premiery, na którą, złożyły się dwie jednoaktówki Antoniego Czechowa — „Niedźwiedź” i „Oświadczyń”.

Dyrektor Kurpanik uważa, że teatr w mieście i województwie monoteatralnym zabiegać musi o różnych widzów. Wybrano więc takiego Czechowa i zrealizowano w taki sposób, że można go zagrać w każdych warunkach i dla każdego widza. Również dla tego, który został wychowany na bardzo tradycyjnym teatrze amatorskim.

„Niedźwiedź” i „Oświadczyń” należą do dramatopisarskich początków autora, który w kilkanaście lat po napisaniu jednoaktówek stworzył swoje najwybitniejsze i ostatnie zarazem dramaty — „Wiśniowy sad” i „Trzy siostry”. Wykorzysta w nich kapitał zgromadzony i ujawniony wcześniej właśnie w jednoaktówkach — owo przepięknie ironia, ale i wyrozumiałość podpatrywanie ludzi i życia, wprawne rysowanie sytuacji i postaci.

Młody Czechow bawi nas do dzisiaj, a bohaterowie „Oświadczyń” mimo ich blisko stuletniego rodowodu zdają się być całkiem blyscy współczesnemu widzowi; czyż nie tak wglądają próby międzyludzkiego porozumienia, gdy partnerzy zapominając, o co im właściwie sżo, dają się ponieść nieistotnym sporom o nieistotne sprawy?

Obronili się więc sam Czechow nie jestera jednak pewna, czy udało się to również reżyserowi przedstawienia, któremu chyba zabrakło pomysłu na pokazanie dziś niemożliwych utworów młodego Czechowa.

Pieczolowite odkurzenie staroci (choćby nie wiem jak cennych) okazuje się zabiegami nie wystarczającym. Naiwna, choć niezupełnie konsekwentna dosłowność sprawia, że momen-

tami zostaje przekroczona granica między realizacją bezpretensjonalną a amatorską.

Niezaprzeczną natomiast zasługą reżysera jest to, że odkrył nam, widzom, nowe oblicza dobrze znanych aktorów: Janiny Bułwianki i Stefana Kwiatkowskiego. Para ta pokazała nie utajnione wcześniej możliwości komediowe.

Nie pierwsza to przystąga „Niedźwiedzia”, którego Czechow napisał dla konkretnego aktora — Mikołaja Solowcowa. „Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, niedźwiedziowaty, o pełnym głosie, iak twierdzą współcześni — niewątpliwie utalentowany skazujący się nieustannie na brak odpowiedniej dla siebie roli” Solowcow znalazł ją w „Niedźwiedziu” i zagrał wspaniale. Stefan Kwiatkowski, aktor dysponujący podobnymi warunkami, również skorzystał z tej szansy. Cóż, bywa, że aktor czeka na swoją rolę latami. Czasem szkoda że tak długo.

Widzowie uspragnieni rozrywki, a niezupełnie usatysfakcjonowani Czechowem, niecierpliwie oczekiwali ostatniej zielonogórskiej premiery. Farsa Alana Ayckbourn’a „Jak się kochają w niższych sferach” dotarła do Zielonej Góry owiana warszawską legendą.

Więści, jakie stamtąd dochodziły, były wręcz niewiarygodne. Oto w czas dociekania przyczyn spadku zainteresowania teatrem, po bilety na „Jak się kochają” w Teatrze Współczesnym ludzie stoją całymi nocami, ba! tworzą nawet komitety kolejkowe z tak rygorystycznym sprawdzaniem listy obecności, jak by się to działo co najmniej przed sklepem z lodówkami czy meblami. Wolnorynkowe ceny biletów skoczyły zaś do... 800 zł.

Polska prapremiera „Jak się kochają”, jednej z blisko trzydziestu fars i komedii napisanych przez angielskiego dramatopisarza, odbyła się w ubiegłym roku — właśnie w Teatrze Współczesnym. W spektaklu wyreżyserowanym przez Macieja Englerta grają: Zofia Kucówna, Czesław Wołłejko, Marta Lipińska, Krzysztof Kowalewski, Wiesław Michnikowski i Beata Poźniak. Celowo wylizną całą tę doborową obsadę. Warszawski sukces Ayckbourn’a mamiąc szansą zdobycia powodzenia, nie dawał żadnej gwarancji jego powtórzenia w innym teatrze i w innym zespole.

Chodzenie przetartymi szlakami bywa w takich sytuacjach ryzykowne. W zielonogórskim przedstawieniu ryzyko było tym większe, że obsadzono w nim również aktorów, którzy dopiero co do naszego teatru przyszli, a więc o nie sprawdzonych tu jeszcze możliwościach.

Z ulgą wielką mogą napisać, że ryzyko się opłaciło. Powstał zabawny i dobry spektakl, zrealizowany z lekkością, toczący się w wartkim tempie, trzymający w napięciu widza, który bawi się na nim doskonale.

Słowa uznania na'żą się Wandzie Laskowskiej za sprawne rozwiązanie pozornie tylko łatwego zadania postawionego przez autora, który prócz nakładania się czasu wymyślił jeszcze symultanicznie przestrzenny. Na scenie oglądamy więc jednocześnie scenki z życia dwóch par małżeńskich. Ba! są jeszcze wizyty trzeciej pary u tych dwóch, oglądane jednocześnie, choć przypadające na różne dni. Mimo tych komplikacji widz ani na moment nie gubi się w czasie i przestrzeni, która skomponowana została przejrzystie i czytelnie. Nie gubią się też w tym labiryncie aktorzy, którzy sami zdają się doskonale bawić tworzonymi postaciami i sytuacjami. Cała szóstka robiła wrażenie dobrze zgranego zespołu, w którym każdy wie, co ma robić dla harmonijnego brzmienia całości.

Byli w nim wspomniane nowe twarze: Ewa Rączy (z Rzeszowa) w roli Teresy Phil lips, Andrzej Byś (z Olsztyna) jako Bob Phil lips oraz Halina Fiećko (ze Szczecina) i Mariusz Szaforz (z Poznania) w roli małżeństwa Featherstonów. Myślę, że szczególnie ostatnia para zapisała się w pamięci widzów. Mariusz Szaforz momentami wręcz zadziwiał skromnością środków, którymi tworzył postać bezbarwnego urzędnika.

Ze starej zaś gwardii odnotować muszę kreację Hilarego Kurpanika, o którym właściwie trudno nawet powiedzieć, że grał Franka Postera — on nim był. W obsadzie tej sztuki był to przysłówowi strzał w dziesiątkę.

Do wyprawy na „Jak się kochają w niższych sferach” zachęcam wszystkich udręczonych codziennymi kłopotami! Na kilkadziesiąt minut można zapomnieć o kolejkach, zajętych obowiązkach i całym bożym świecie. Widzowie wychodzą z tego spektaklu auten tycznie rozbawieni.

Po kolejnej premierze mam nadzieję zobaczyć także rozdyskutowanych. Po porcji zabawy przysłać coś do pomyślenia.

DANUTA PIEKARSKA

Stefania Zacharaki: „Wiezienie” i „Lalka”, reż. oprac. tekstu, muzyka — Barbara Katarzyna Radecka, scenografia — Jerzy Gorazdowski, premiera — 8 września 1984 na Scenie Kameralnej.

Antoni Czechow: „Niedźwiedź” i „Oświadczyń”, reżyseria — Zbigniew Czeski, scenografia — Jerzy Gorazdowski, muzyka — Piotr Czajkowski, oprac. muz. — Andrzej Tuchowski, premiera — 22 września 1984 na Scenie Kameralnej.

Alan Ayckbourn: „Jak się kochają w niższych sferach”, reżyseria — Wanda Laskowska, scenografia — Marek Tomasiak, opracowanie muzyczne — Zygmunt Galek, premiera — 14 października 1984 na dużej scenie.